

LEKCJE HUMORU

JAN PESZEK, AKTOR:

Teresa po śmierci Bartoszewskiego powiesiła jego zdjęcie w korytarzu.
Kiedy je mijam, pojawia mi się myśl:
nie warto kombinować, lepiej walić między oczy, jak ten facet.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Chciałabym porozmawiać o ważnych ludziach w Pana życiu.

JAN PESZEK: Jeśli pyta pani o autorytety, to z nimi jest krucho. Tu zachowuję ostrożność.

Bo?

Bo człowiek uznany za autorytet najczęściej – nie zawsze – zaczyna żyć nowym życiem, w którym pojawia się szereg obligacji do tego, by sprostac temu pojęciu, i coś zaczyna się mu wymykać. Doceniam trzymanie się zasad, choć i one, rzecz jasna, z rozmaitych przyczyn mogą korodować.

Patrzę coraz częściej na ludzi, którzy mają wystarczającą ilość zapatrzania w siebie twierdząc, że zajmują się kimś drugim, a tak naprawdę skupiają się wyłącznie na sobie.

No to proszę opowiedzieć o ważnych ludziach z Pana otoczenia.

To ci, którzy zostawili we mnie jakiś ślad i spowodowali, że bez przymusu zacząłem rewidować swoje postawy. Niewątpliwie takim człowiekiem jest moja żona. Tak jest, nic na to nie poradzę.

Dlaczego żona?

Nie będę analizował, jaki palec losu wskazał nas sobie, ale to niewątpliwie jest ktoś, kto gra kluczową rolę w kwestii osobistej: w pojmowaniu najpełniejszym życia i kontaktowania się z innymi ludźmi.

Zawsze powie prawdę. Z wykształcenia inżynier chemik, wyjątkowo czuły sejsmograf na to, co dzieje się w teatrach. Każdy fałsz potrafi wyłapać. Liczę się bardzo z jej zdaniem, w ten sposób też się przejawia nasze pokrewieństwo dusz.

Teresa parokrotnie uratowała mnie z opresji. Kiedy mieszkaliśmy w Łodzi, bo tam dostałem angaż w Teatrze Nowym, ktoś zwyczajnie mnie oszukał, a ja nie umiałem sobie z tym poradzić. Żona wykazała się wtedy niezwykłą determinacją. Postawiła ultimatum, na szali którego ważył się nasz związek. Z perspektywy czasu wiem, że bym się kompletnie pogubił, gdybym wtedy nie uległ jej perswazji. Wiem, to nie jest w porządku, że mówię o osobie tak dla mnie ważnej, jak o ratowniku, który rzuca tonącemu koło... To wspaniałe, choć wolałbym się ratować sam.

Do Teresy mam bezwzględne zaufanie. Moje zachowania, które być może innym wydają się niewłaściwe, przez nią zawsze są zrozumiane.

A przez innych nie są?

Uwielbiam ludzi, szybko się w nich zakochuję – to wynika z fascynacji niezwykłym bogactwem człowieka. Rzadko spotykam ludzi bezinteresownych. Człowiek jest istotą szalenie egocentryczną, zorientowaną na siebie.

A dzieci?

Dzieci to dziwne zjawisko, do końca dla mnie nierozpoznane. Sam nie wiem, czy jestem ojcem złym, czy dobrym – z punktu widzenia obiegowych ustaleń.

Czyli jakich?

Takich, że bardzo mi zależy na ich losie, że życzę im dobrze, że nie jestem ojcem toksycznym, co nie jest prawdą, bo oczywiście mówiąc o egotyzmie ludzkim, w relacjach z moimi dziećmi były okresy, kiedy bardzo trudno było nam się porozumieć,

zwłaszcza z synem. Dziś wiem, że było to wkalkulowane w okres dojrzewania, na który nakładały się jeszcze napięcia tworzące się między dwójką mężczyzn. Natomiast na pewno relacje z dziećmi to ogromna wartość, o którą warto walczyć. Z takim przekonaniem, jak Teresa zawańczyła o mnie w Łodzi, siebie zostawiając na boku.

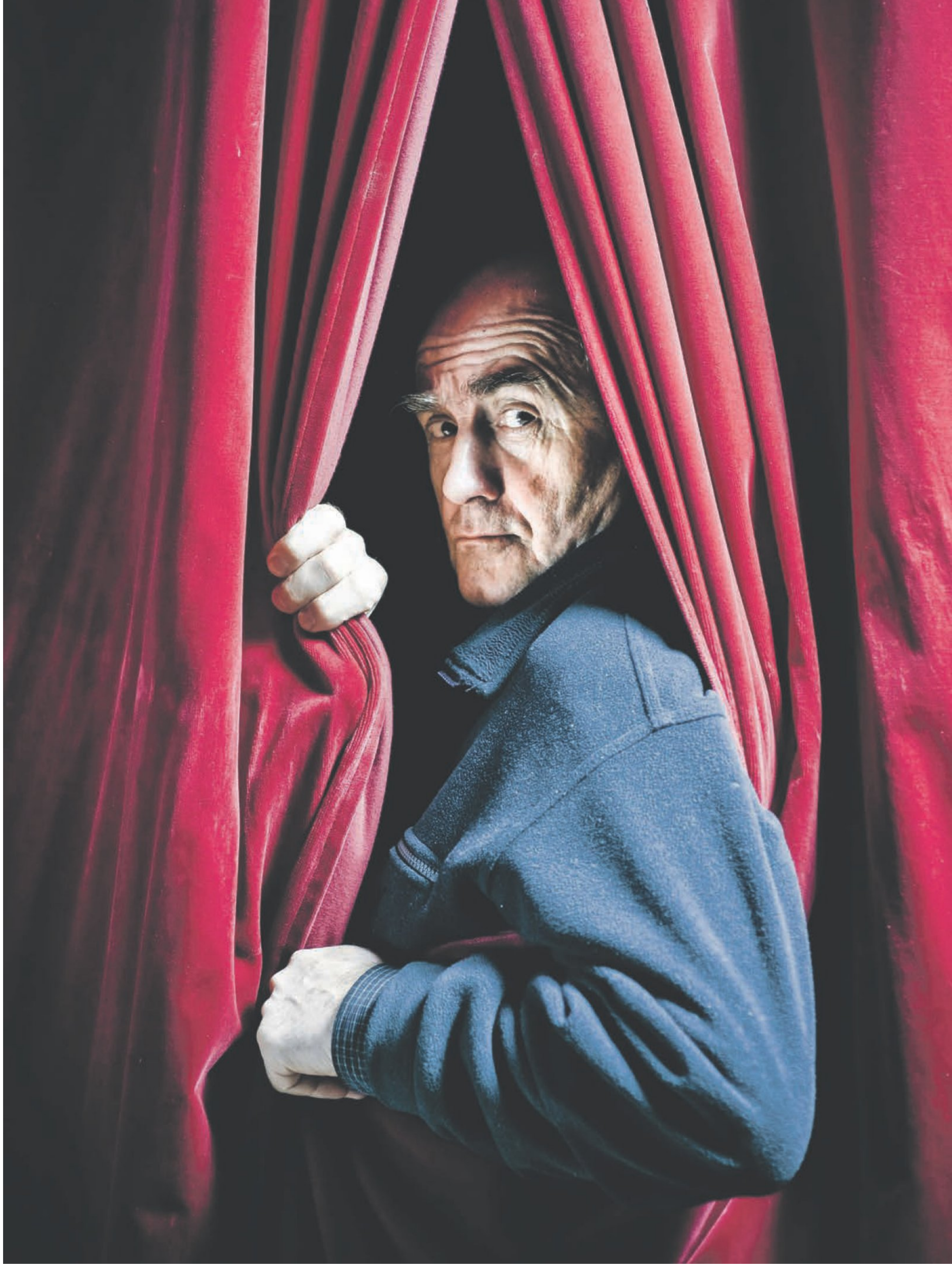
Ta częściowa rezygnacja ze swoich planów i pragnień w relacji z dzieckiem jest istotna.

Dziecko i rodzic to są byty na tyle w swojej relacji skomplikowane, że nie ma doskonałych rozwiązań. Nie czytam tych wszystkich porad wychowawczo-pedagogicznych czasami utytułowanych i wartościowych ludzi, bo nie mam potrzeby podpowiadania mi, co mam zrobić. I nie z tego powodu, że w tej kwestii mam poczucie pewności siebie, tylko dlatego, że każdy przypadek jest indywidualny.

W „Ojciec, matka, tunel strachu” wystawianym w Starym Teatrze zagrał Pan syna, a w Pana ojca wcielił się Pana syn Błażej, zaś synowa – Katarzyna Krzanowska pojawia się na scenie jako Pana matka. To musiało być ciekawe doświadczenie.

„Ojciec...” jest dobrze skrojoną sztuką, w której prosto sformułowano tezę, że relacja rodzice–dziecko jest wzajemną edukacją. To zjawisko jest nierozwiązywalne, nie ma dobrze wychowanego dziecka, dobrze wychowujących rodziców.

Zawsze pojawia się jakaś pomyłka wynikająca z faktu naszej niedoskonałości. Dlatego na rodzicielstwo patrzę spokojnie, panika mnie nie ogarnia.



⇒ **Zapewne dlatego, że Pana dzieci są już dorosłe.**

Ostatnio z córką i synem poleciliśmy na jedną z maleńkich wysepek na Atlantyku. Znaleźliśmy się w czarownym miejscu i mieliśmy czas tylko dla siebie. Obcowaliśmy z dziką przyrodą, kąpaliśmy się w oceanie, spacerując po plaży prowadziliśmy rozmowy.

Ważne rozmowy?

Na początku właśnie bardzo nieważne, nawet przed wyjazdem ustaliliśmy, że nie poruszamy tematu: „jak żyć”. Ale przecież to jest niemożliwe, z natury rzeczy opłotkami jakoś się ta kwestia nieuchronnie zjawia. Maria i Błażej raz nawet odbyli długą nocną rozmowę, ale nie pytałem, czego dotyczyła.

Zmierzam do tego, że moje dzieci mają potrzebę przebywania z rodzicami. Święta obowiązkowo spędzamy w naszym domu pod Krakowem – Maria i Błażej nie chcą słyszeć o innych atrakcyjnych miejscach, które z żoną raz na czas im proponujemy.

Wobec mojej, ciągle nieuporządkowanej natury córka i syn są ode mnie dojrzałsi: w wielu decyzjach potrafią mądrze odnieść się do sytuacji, którą trudno im jest zaakceptować. Zwłaszcza syn zawsze znajduje salomonowe wyjście.

Proszę o przykład.

Kiedy Błażej został aktorem, mówiłem mu: musisz bywać, pokazywać się, nie możesz opuszczać środowiska, ponieważ ono daje ci również pracę. Błażej chronicznie nie cierpi wszelkiego rodzaju układanek, nazywam to „merdaniem ogonkiem”. A ja mam taką naturę, że nie ponoszę zbyt wysokich kosztów emocjonalnych, by jednak to czasami zrobić w imię konkretnego celu. Można powiedzieć, że jestem od niego człowiekiem mniej prawym.

A córka?

Ekstremalnie nie toleruje taryfy ulgowej. Myślę, że jednak zacznie w końcu mądrzeć, ponieważ nie jest już kilkunastoletką.

Pan przecież też nie toleruje taryfy ulgowej.

Ale potrafię czasami zmienić kurs, użyć innego języka, obejść frustrującą mnie sytuację. Albo na przykład skończyć rozmowę, która męczy – tego nauczył mnie Bogusław Schaeffer. Jeszcze na początku naszej znajomości obserwował, jak rozmawiam z którymś z pedagogów w szkole teatralnej. Widział, że się męczę. Powiedział: „Nigdy nie kontynuuj dialogu, któ-

Dziadkowi chodziło

o drobiazg – dreszcz emocji, który mógł tym dwóm kobietom ufundować.

W pewnym sensie był władcą świata, to mi w nim imponowało.

ry cię śmiertelnie męczy. Nie można pielegnować w sobie toksyn, więc kończ, bez względu na to, kim jest twój rozmówca”.

To przenosi się oczywiście na szereg podobnych działań w życiu człowieka.

Schaeffer to chyba człowiek numer jeden w Pana artystycznym życiu.

Nie wiem, jaki palec losu złączył mnie z Teresą, i jaki z Schaefferem. Mogę powiedzieć jedno: gdy człowiek przejawia szeroko rozumianą aktywność, to z rachunku prawdopodobieństwa pojawiają się większe szanse na to, że spotka kogoś ciekawego. Schaeffer pojawił się u progu mojego zawodowego życia jak *deus ex machina*, tylko w konsekwencji tego, że z poetą, Bogusiem Kiercem, w szkole teatralnej recytowaliśmy poezję (on – Przybosia, i ja – Kierca, bo jemu było niezręcznie). I wtedy przyszedł Adam Kaczyński, powiedział, że potrzebuje takich dwóch wariatów, jak my, do eksperymentalnego zespołu MW2, z którym współpracował Schaeffer.

On był dla mnie objawieniem. Sformułował tezy awangardy muzycznej i teatralnej, burzył porządek stary i wносił nowy. Dla młodego człowieka, a poznałem go jako student, jawił się jako wódz plemienia i ja natychmiast się do niego chciałem przyłączyć. Droga, którą mi wskazał Schaeffer, wydała mi się o wiele ciekawsza i porywająca niż ta, którą proponowano mi w szkole. Z perspektywy pięćdziesięciu kilku lat doświadczeń zawodowych wiem, że moje przeczucie było absolutnie właściwe.

Schaeffer twierdzi, że „Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego” napisał specjalnie dla Pana już w roku 1963.

Stąd ten tytuł dziwny: „dla nieistniejącego”. Bo ja nie istniałem jako aktor. On mnie dopiero co poznał i jego intuicja mówiła mu: że ja będę tym potencjalnym aktorem instrumentalnym, który zrealizuje to, co on napisze dla mnie. Tekst wręczył

mi w 1974 r., czyli 11 lat od powstania. Uznał, że się na tyle rozwinąłem, by móc zagrać.

Ale Pan nie czuł się na to gotowy.

Człowiek do wszystkiego dojrzeje. Dziś na próbie „Wesela” w Starym dostałem petardę między oczy od Jana Klaty. Chodziło o jego wizję postaci Stańczyka. Kompletnie się tego nie spodziewałem, wydawało się, że jesteśmy na zawsze już przyklejeni do sztamp obowiązujących przy wystawianiu dramatu Wyspiańskiego, który przecież w roku 1901 był rewolucjonistą. Nie mogę przed premierą więcej o tym mówić, ale na pewno widzenie przez Klatę Stańczyka jest rewolucyjne i całkowicie się z nim zgadzam.

No dobrze, a co ze scenariuszem od Schaeffera?

Z nonszalancją powiedziałem mu, że nie widzę możliwości zrealizowania. Przeczytałem bardzo mądry wykład o trudnej sytuacji sztuki i artysty we współczesnym świecie.

– Całkowicie się z tym zgadzam – obwieściłem Schaefferowi – ale to jest forma ateatralna, mogę ewentualnie to przeczytać w jakiejś auli i sprowokować do żywej dyskusji.

A Schaeffer ze swoją mądrością czekał, aż ja się z tym wykokosiłem. Odwiedzał mnie we Wrocławiu, ja jego w Krakowie, pokazywałem mu kawałki, on się niektórymi zachwycał, z innymi dyskutował, ale nigdy nie przekreślał próbując zrozumieć. W ten sposób przez półtora roku rodził się „Scenariusz...”. Warto było, bo przecież nie mogłem wtedy przewidywać, że przez ponad 40 lat okaże się to monodram chętnie słuchany i oglądany.

A jeszcze jakaś lekcja, którą otrzymał Pan od Schaeffera?

Lekcja humoru – rzecz potrzebna i w sztuce, i w życiu. Miał dystans do siebie i swojej twórczości, choć bywało, że żarliwie o nią walczył. A w szkole teatralnej wszystko było strasznie poważne i na piedestale.

Nasza znajomość zaczęła się od tego, że na Małym Rynku powiedziałem mu totalnie głupi dowcip, w połowie którego zorientowałem się, że nie ma sensu go kończyć. Schaeffer poprosił, bym to zrobił. Ja z bólem żołądka dokończyłem ten naprawdę głupi dowcip i Schaeffer dostał furiozalne ataku śmiechu. Potem zaprosił mnie na winiak do Fafika przy Siennej i zaproponował: „Mów mi Boguś”. Pierwszego dnia, przez totalnie głupi dowcip, nagle

ten człowiek przełamał moje opory wobec autorytetu. On jednak był już kimś, a ja początkującym studentem.

Kto jeszcze jest dla Pana ważny oprócz żony, dzieci i Schaeffera?

Ci, którzy powodują, że człowiek ma poczucie wyrządzonej mu krzywdy. Po łódzkim incydencie wyrosła mi skóra nosorożca. Nie znaczy, że nie jestem wrażliwy, ale dzięki tym czterem latom totalnego zawodowego upokorzenia i wątpliwości we własną wartość nabrałem niebywalej siły na wrocie wobec mnie zachowania. Zresztą natychmiast potem z koszmarnego dla mnie Teatru Nowego przeniósłem się na dwa lata do Teatru Jaracza, gdzie, jak z rogu obfitości, wysypały się role nagradzane na festiwalach. Wtedy zaczęła się moja tzw. kariera.

Mówi Pan słowo „kariera” z wyraźną ironią.

Bo każda kariera jest utrapieniem. Jeśli człowiek się do niej nie odniesie we właściwy sposób, to staje się balastem, który pociągnie na dno. Trzeba mieć naprawdę dużo siły, by dobrze znosić mechanizmy kariery.

A inni ważni ludzie ze środowiska?

Nie ma co używać nazwisk. Wiadomo, że z niektórymi pracuje się wspaniale, a z niektórymi kolizyjnie. Z uznawanym za jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów totalnie nie byłem w stanie się porozumieć.

A jest jeszcze ktoś ważny z rodziny?

Dziadek Stefan. Przystojny, wyluzowany, silny. Dokonywał prostych rozgraniczeń pomiędzy wartościami.

Miał wspaniałą partnerkę – Stefanię, która była kobietą stojącą zawsze z boku, ale z wyraźną osobowością. Popełnili megalians, zresztą w mojej rodzinie nie pierwszy. Ona pochodziła z ziemiaństwa, on z chłopstwa. Dziadek obdarzony był nieprawdopodobną witalnością i poczuciem humoru. Przeszedłem dzięki niemu rodzaj inicjacji...

Był właścicielem ogromnych sadów na Mazowszu, jeździłem tam na wakacje. Kiedyś przez wieś wracaliśmy z tych sadów, zatrzymaliśmy się nad rzeką Wkrą – leniwą, głęboką, piękną. I on zaproponował, byśmy się w niej wykąпали. Zeszliśmy po stromej skarpie, słońce zachodziło, w krajobrazie widoczne były wszystkie znamiona kiczu. Weszliśmy na łódkę i dziadek rozebrał się do naga, co było dla mnie szokujące. W naszej ortodoksyjnej katolickiej ro-

Nigdy też nie zapomnę

spotkania z księdzem
Józefem Tischnerem.
Kilka zamienionych zdań,
przyjrzenie się sobie,
wzajemność. Takie rzeczy
właśnie mnie poruszają.

dzinie takie rzeczy były nie do pomyślenia. Ja oczywiście zostałem w gatkach, dziadek jednym ruchem mi je ściągnął, klepnął w plecy i wskoczyłem do wody. Z tego epizodu nic nie wynikało poza tym, że po raz pierwszy nago stanąłem naprzeciwko drugiego człowieka. I nie było w tym cienia pruderii.

Nic dziwnego, że ta sytuacja tak mocno zapadła Panu w pamięci.

Pamiętam jeszcze, jak zgubiłem klucz od kłódki do sadu i miałem z tym ogromny problem. Dziadek to zarejestrował, a ja nie byłem w stanie wystękać prawdy; wydawało mi się, że dostanę burę. Gdy w końcu to zrobiłem, dziadek dostał amokalnego ataku śmiechu, którego nie mógł zahamować; nie mieściło mu się w głowie, że taka błahostka wywołuje we mnie nieproporcjonalny lęk. Ta sytuacja dziadka dobrze charakteryzuje. Poza tym lubił robić dziwne rzeczy. Kiedyś jechaliśmy bryczką i on odwoził dwie panie do drugiej wsi. Minał ich dom, podciął konie, które zaczęły biec szybciej. Kobiety krzyczały: „Panie Krakowski, co pan robi?”. A dziadek zaśmiewał się i to było bardzo niewinne... Potem zawracał, odwoził panie pod dom, zeskaکیwał z bryczki, podawał im szarmanko dłoń, a one tylko: „Oj, panie Stefanie, z pana to...”. I tak się urywało.

Dziadek lubił kreować takie sytuacje?

Chodziło mu o ten drobiazg – dreszcz emocji, który mógł tym dwóm kobietom ufundować. W pewnym sensie był władcą świata, to mi w nim imponowało.

A co z tymi autorytetami? Na początku rozmowy powiedział Pan, że jest wobec nich ostrożny, potem, że był nim Schaeffer...

Autorytety często się mitologizuje. Gdy jest się młodym, głód spotkania się z kimś odrębnym, wyjątkowym, charyzmatycznym jest naturalny. Mitologizacja jest częścią naszego życia.

Ona rzeczywiście może je czynić znosięjszym.

Teresa po śmierci Bartoszewskiego powiesiła jego zdjęcie w korytarzu naszego mieszkania. Nie znałem go osobiście, ale ze wszystkich jego działań przebijała siła bezkompromisowości i poczucia prawa do mówienia tego, co się myśli. I kiedy mijam jego portrecik, robi mi się zawsze przyjemnie, a w kącie głowy pojawia mi się myśl: nie warto kombinować, lepiej walić między oczy, jak ten facet.

Sporą cenę za coś takiego można zapłacić.

Nigdy też nie zapomnę spotkania z księdzem Józefem Tischnerem. Ulotna chwila, ale jakże istotna. W radiu nagrywaliśmy coś dla Danuty Michałowskiej, spotkaliśmy się w jednym studiu. Dziesięć minut, których nie zapomnę – to są moje osobiste dopełnienia, można to nazwać, choć nieudolnie, chwilą szczęścia. Pyta pani, co się działo? Kilka zamienionych zdań, przyjrzenie się sobie, wzajemność. Takie rzeczy właśnie mnie poruszają.

Co jeszcze Pana porusza?

Czasami decyzja bardzo młodego człowieka, studenta, który komunikuje, że będzie pracował na prowincji. Zawsze jestem tym zaintrygowany, a może po prostu doceniam to, bo wiem, co się jakoby najbardziej liczy w dzisiejszym świecie. Nie byłoby mnie stać na coś takiego, choć marzę o tym, by uciec od cywilizacji. I te wszystkie moje wyjazdy, pseudopoznanie ostatnich dzikości, jest zwyczajnym oszustwem. A ten student, w tym punkcie swojego życia, staje się moim autorytetem. ©

Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

JAN PESZEK (ur. 1944) jest aktorem teatralnym, filmowym i telewizyjnym, pedagogiem i reżyserem. Rozgłos przyniosły mu role w spektaklach m.in. Mikołaja Grabowskiego, Rudolfa Zioly, Krystiana Lupy, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego, Grzegorza Jarzyny, Jana Klaty, Michała Zadary. Jako członek awangardowego zespołu MW2 i aktor Teatru STU zasłynął interpretacjami tekstów Bogusława Schaeffera, zwłaszcza napisanego specjalnie dla niego monodramu „Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”, będącego połączeniem filozoficznego traktatu, manifestu teatru awangardowego i kompozycji muzycznej. Wkrótce zobaczymy go w roli Stańczyka w „Weselu” Jana Klaty, którego premiera odbędzie się w maju na deskach Starego Teatru.